GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

Na samym akcie bowiem umieścił prezydent br. Krieg następujący dopisek (oczywiście po niemiecku) „Panu radcy gubernialnemu, baronowi Sali, do uprzejmego przejrzenia po ekspedycji“. Br. Sala przejrzał akt niezawodnie, bo stwierdził to na nim swoim własnoręcznym podpisem. Mniemamy, że już ten jeden szczegół wystarcza do zachwiania powagi źródłowej, którą br. Sala dla swojego dzieła windykuje, a której mu nawet polska krytyka historyczna nie zaprzeczyła w sposób stanowczy. Br. Sala jest autentycznym, o ile chodzi o przytoczenie aktów popierających jego dążności do rehabilitacji biurokratycznych działaczy z roku 1846, ale ukrywając lub pomijając milczeniem takie dokumenta historyczne, jak akt powyższy, lub przedtem podane hajdamackie rozporządzenia starosty Milbachera, do mandatarjusza Błockiego, już nietylko uchybił ścisłości, lecz nawet dopuścił się skrzywienia obrazu historycznego.

W obrachunku winy i odpowiedzialności za rzeź galicyjską z r. 1846 na szali ciężko dziś zaważyć musi jeden argument natury negatywnej, ale wiele mówiący. Argument ten sformułować można w pytaniu: dlaczego na wszystkie współczesne, całą Europę obiegające i o pomstę wołające oskarżenia biurokracji galicyjskiej, nie odpowiadano takiem autoryzowanem urzędowem przedstawieniem genezy i przebiegu krwawych wypadków, o jakiem, jak to z aktów się okazuje, początkowo na serjo myślano w wiedeńskich kołach rządowych. Wyszło nawet w tym duchu w roku 1847 cesarskie polecenie, którego nie wykonano ani w swoim czasie, ani później. Dzieło br. Sali nie może uchodzić za taką autoryzowaną odpowiedź rządu, bo sam autor w przedmowie zaznacza to wyraźnie. Wprawdzie w roku 1846 i 1847 biuro prasowe, nie zorganizowane w sposób dzisiejszy, ale mimo to gorliwie i wydatnie funkcjonujące w ówczesnym aparacie rządowym, zasypywało z Wiednia i ze Lwowa zjednane dla obrony pisma zagraniczne, (w pierwszym rzędzie wspomnianą już wyżej augsburską „Allgemeine Zeitung“), korespondencjami, piętnującemi nazwą oszczerstwa wszelkie obwinienia biurokratów galicyjskich o przyczynienie się do krwawego przebiegu wypadków, a zarazem przedstawiającemi cały wybuch jako straszliwe, na mordy obliczone, sprzysiężenie komunistów, wogóle żywiołów wywrotu społecznego, do spółki z emigracją polską, działającą pod hasłem narodowem, ale zawsze w duchu jakobińskich tradycji, przekazanych porozbiorowemu społeczeństwu polskiemu ze schyłku XVIII stulecia; ale wszystkie te filipiki nie zdołały zagłuszyć głosów przeciwnych, rozbrzmiewających równocześnie w wybitnych liberalnych organach europejskich i w parlamentach. Straszydło jakobinizmu, które od chwili genezy swojej tyle razy nieocenione oddało usługi dyplomacji europejskiej kosztem oczywistej prawdy, mogło jeszcze i w tych czasach być wydobyte z rupieciarni dyplomatycznej in usum oficjalnego świata, uważającego mowę za dar boży, dany człowiekowi dla ukrywania myśli; i rzeczywiście też, obok komunizmu wydobyte zostało przez ks. Metternicha w jego notach ówczesnych; ale opinia zachodniej Europy, dla której sprawy polskie nie były już, jak przed kilkudziesięciu laty, terra

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z 1. marca 1903 roku.

incognita, nie dała się tak łatwo w błąd wprowadzić.

W półtora roku później, w roku 1848, nawet ze stanowiska interesów zagranicznej polityki austrjackiej potrzebnem, wprost koniecznem było takie autoryzowane odparcie oskarżeń z r. 1846, o jakiem pierwotnie w Wiedniu myślano. Pokazało się bowiem, że ks. Metternich nie zdołał nawet zagranicznego świata dyplomatycznego przekonać o bezpodstawności tych oskarżeń, skoro jak się to okazuje z dokumentów przez br. Helferta*) ogłoszonych, lord Palmerston z okazji obłożenia przez marszałka Radetzkiego wielką kontrybucją magnatów lombardzkich, wtedy poza krajem przebywających, nie zawahał się w rozmowie z austrjackim ambasadorem uczynić jego rządowi zarzutu, że w r. 1846 wywołał rzeź w Galicji. Austrjackim ministrem spraw zagranicznych był wtedy Feliks ks. Schwarzenberg, niezmiernie drażliwy o powagę i honor Austrji, ale nadto dbały o swój dżentelmański charakter nawet w polityce, aby posługiwać się zechciał wykrętnemi środkami. Gdyby wtedy ks. Schwarzenberg mógł był w Wiedniu z aktów o r. 1846 powziąć niezłomne przekonanie, że postępowanie organów rządowych w Galicji było zupełnie nienaganne, byłby zapewne zaraz spowodował wykazanie cesarskiego rozkazu co do autoryzowanego przedstawienia genezy i przebiegu krwawych wypadków roku 1846, a już co najmniej byłby wobec Palmerstona wystąpił tak energicznie, aby za obrazę dane było zupełne zadośćuczynienie. Tymczasem ks. Schwarzenberg postąpił sobie w tej spawie w taki sposób, jak gdyby chciał ubić niemiłą kwestję raz na zawsze, warując jakie takie pozory gniewu za krzywdzące uchybienie. Takie wrażenie bowiem sprawia nota ks. Schwarzenberga z 30. listopada 1848 roku, wystosowana do ambasadora austrjackiego w Londynie, a którą dosłownie przytaczamy: „Widzę z Pańskiej relacji z 20. listopada — pisze książe Schwarzenberg że lord Palmerston, mówiąc o polityce rządu cesarskiego wobec Włoch pozwolił sobie imputować mu rzeź galicyjską z roku 1846 i wogóle w rozmowie z Panem przybrać ton, którego reprezentant Austrji nie może znosić bez narażenia powagi swojego dworu. Wobec tego wzywam Pana, abyś odtąd z pierwszym sekretarzem stanu utrzymywał tylko stosunki czysto urzędowe, a przedewszystkiem, abyś nigdy nie wchodził z nim w dyskusje o kwestjach politycznych. Będziesz Pan tylko wywiązywać się z poleceń odemnie otrzymanych i przyjmiesz jedynie ad referendum wszystko, co on Panu powie“.

Trzeba jeszcze dodać, że Palmerston wcale nie przeraził się taką zmianą w postępowaniu ambasadora austrjackiego i snać nie obawiał się zaostrzenia konfliktu o powyższą sprawę, skoro dalej dokuczał Austrji z powodu aktualnej wówczas sprawy włoskiej tak dalece, że aż przyszło do zamanifestowania żalu wobec samego dworu angielskiego. Po zaszłej bowiem wtedy w Austrji zmianie osób na tronie, nie wysłano z Wiednia do Londynu, jak do innych dworów, Arcyksięcia z listem nowego cesarza (Franciszka Józefa I), lecz poprzestano na zwyczajnej dyplomatycznej notyfikacji jego wstąpienia na tron. Do demonstracji tej ks. Schwarzenberg dodał reprezentantowi austrjackiemu na dworze londyńskim komentarz, w którym lord Palmerston nazwany został „zaciekłym nieprzyjacielem Austrji“ i zdeklarowanym protektorem buntowniczych poddanych cesarza“.

Czy na ks. Schwarzenberga wpłynęła tak bardzo spuścizna archiwalna, objęta po poprzedniku, ks. Metternichu, że poniekąd płazem puścił, a w każdym razie bardzo niedostatecznie powetował zniewagę, Austrji wyrządzoną? Czy spotkał się może w tej spuściznie z dowodami lub przynajmniej wskazówkami na to, że na ks. Metternicha, jako wszechwładnego w roku 1846 kanclerza, spada znaczna część odpowiedzialności za rzeź galicyjską, że zatem rację miał w tej mierze Aleksander hr. Wielopolski w swoim słynnym wówczas liście otwartym, w Paryżu po francusku wydanym, więc dla całej Europy przystępnym?

Żeby ks. Metternich przewidywał takie łotrostwa, jakie za plecyma Breinla popełnione zostały przez bandy hajdamackie pod wodzą Jakóba Szeli, żeby, mogąc im zapobiedz, z rozmysłem nie uczynił tego, żeby wreszcie przy pisaniu swoich pierwszych not dyplomatycznych o wypadkach galicyjskich z lutego 1846 roku miał już jakie pewne informacje o prawdziwym stanie rzeczy i dowody kłamliwości bezpośrednich relacji Breinla, a wszystko to z planem ukrył przed cesarzem, tego przypuścić nie można, chociażby tylko z tego powodu, że taki przebiegly dyplomata jak ks. Metternich, nie byłby w takim razie niejako prowokował opinii europejskiej tonem, jakim tchną jego ówczesne noty, znane dziś w tekście autentycznym z dzieła, wydanego przez syna kanclerza*). Dopóki jaka niespodzianka w formie publikacji nieznanych dotąd, sekretnych aktów kanclerskich z tej doby nie dostarczy innego materjału, trzeba w sądzie o roli ks. Metternicha w roku 1846 poprzestać na powyższym materjale autentycznym.

Z tego materjału okazuje się przedewszystkiem, że ks. Metternich we współczesnych pismach dyplomatycznych przedstawił reprezentantom rządu austrjackiego za granicą charakter wypadków galicyjskich z lutego 1846 roku w najfałszywszem świetle, mianowicie w ten sposób, iż chodziło tutaj nie o szalony poryw

*) J. A. Frh. v. Helfert: „Geschichte Oesterreichs von Ausgange des Wiener October-Aufstandes 1848“, Prag 1870 — tom IV (w aneksach).

*) „Aus Metternich's nachgelassenen Papieren“, Wien, 1883 (część druga, tom piąty).

wolnościowy z przewodnią ideą narodu, lecz o zbrodniczy zamach komunistyczny na porządek społeczny. Cele i środki tego zamachu wyglądają w tych pismach tak potwornie, że wobec nich krwawa represja, której szczegóły oczywiście zostały milczeniem pominięte, wygląda jako akt koniecznej obrony ustroju państwowego, podminowanego w fundamentach społecznych.

Dla ilustracji przytoczymy kilka ustępów z tych pism ks. Metternicha: „Zdaje się, — pisze do ambasadora austrjackiego w Paryżu, hr. Apponyi'ego, dnia 20 lutego 1846 roku, — że odkrycia, poczynione w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, skłoniły fakcję komunistyczną do spróbowania zamachu w małem państewku Krakowskiem. Przedsięwzięcie jest bezmyślne, ale partja ta może podejmować tylko zamysły, odpowiadające jej duchowi. W Krakowie jest wiele pieniędzy do zabrania, jest możność terroryzowania, a mniejsza o to co się potem stanie. Trwoga, wywołana przez tych krwiożerców *(ces buveurs de sang)*, jest tak wielka, że ludzie posiadający nie mają już tyle odwagi, aby nocować w swoich pomieszkaniach. Filantropowie *quand même*, zabierając głos w sprawie polskiej, mogą używać na rzecz swoją dźwięcznych słów ale nie mają one praktycznego znaczenia. W mojej depeszy z dnia dzisiejszego mówię o dwóch stronnictwach polskich. Jest rzeczą pewną, że stronnictwo arystokratyczne znikło, a góruje stronnictwo skrajnej lewicy. Stronnictwo to składa się z drobnych oficjalistów, z kasty szlachty zrujnowanej (żebraczej) i zapaleńców ze wszystkich klas. Propaguje ono podział dóbr i formuje się w bandy, celem atakowania klasy posiadającej. W Galicji dziś chłopi sprawują policję. Nasi włościanie są szczęśliwi i właśnie lękają się tego, żeby się nie znaleźli w dawnem położeniu swojem. Chwytają zatem agitatorów i wydają władzy". W siedm dni później, pisze ks. Metternich do tego samego ambasadora: „Gdzie się zatrzyma i w jakim kierunku rozwinie się ruch, raz rozbudzony? Początek jego odsłonił dla właścicieli niebezpieczeństwo komunizmu. Lud galicyjski zwalcza instygatorów, gdyż odrzuca doktrynę, której nie rozumie". Komunikując 18 marca 1846 roku hr. Apponyi'emu wyciągi z papierów uwięzionego w Poznaniu Mierosławskiego, mianowicie wyciągi z instrukcji rewolucyjnych, ks. Metternich taki dodaje komentarz: „Redaktorowie (tych instrukcji) powiedzieli sobie, jak się zdaje: Zacznijmy od zabijania, rabowania i niszczenia, a potem przyjdzie kolej na resztę. Z tych instrukcji pokazuje się, że były one dosłownie pojmowane przez spiskowych w cyrkule Tarnowskim".

Zmora jakobinizmu, łączonego od schyłku XVIII stulecia nierozdzielnie ze wszystkimi ruchami polskiemi, widocznie tak opętała ks. Metternicha, że rozstrzygającemi dla jego postępowania były informacje, dostarczone przez agentów policyjnych, śledzących szczególnie działalność najskrajniejszych żywiołów emigracji polskiej w Paryżu i w Wersalu. Od tych agentów nadchodziły potworne wiadomości o planach zapaleńców *à la* Mierosławski i Edward Dębowski, z których pierwszy śledzony był w Poznańskiem i wpadł wreszcie w ręce policji, a drugi uwijał się po Galicji, mimo wytężonej czujności policyjnej, tak szczęśliwie, że nie wpadł w ręce władzy austrjackiej. Dębowski padł na czele procesji, która w roku 1846 z Krakowa wyruszyła na Podgórze przeciw nadciągającemu wojsku austrjackiemu, ale jeszcze i po śmierci, której na pobojowisku w pierwszej zaraz chwili nie stwierdzono autentycznie, tak trapił swojem wspomnieniem policję austrjacką i tak się władzom przywidywał, że starostowie urządzali formalne obławy, a nawet w rok później zarządzono rewizję wszystkich więzień i więźniów politycznych, wskutek uporczywie utrzymującej się pogłoski, jakoby Dębowski żył jeszcze, i albo dalej pełnił funkcję emisarjusza z właściwą sobie bajeczną zręcznością, albo dostał się do więzienia pod fałszywem nazwiskiem.

Że pisma, wychodzące z tych kół radykalnych i ustna propaganda ich wysłanników w Galicji dostarczały, niestety, aż nadto wiele materjału na poparcie urojeń ks. Metternicha, jakoby chodziło głównie o komunizm i wogóle o przewrót socjalny, jakoby mianowicie partja radykalna, wpływając na lud wiejski ponętną obietnicą zniesienia pańszczyzny, usiłowała porwać go za sobą, a przytem zawładnąć szlachtą, w ten sposób sterroryzowaną, to, niestety, nie ulega wątpliwości, to jeszcze więcej utwierdzało koła rządowe w przekonaniu o trafności dotychczasowej nieszczęsnej polityki, której pierwszym fundamentalnym artykułem było takie traktowanie i forytowanie chłopa, aby on tylko od rządu oczekiwał ulgi w ciężarach pańszczyźnianych, a w cyrkułach widział swoich opiekunów i obrońców. Jeżeli jednak mężowi stanu, dzierżącemu w rękach swoich, jak ks. Metternich, ster polityki wewnętrznej i zagranicznej całego państwa, nie można darować takiego zaślepienia w poleganiu na informacjach jednostronnych, to już żadną miarą nawet złagodzić nie można ciężkiej odpowiedzialności za to, że, opierając się na chłopach, pozwalając im, jak sam mówi, „sprawować policję", nie pomyślał wcześnie o tem, aby dzikie instynkta tej siermiężnej policji ujęto w karby powagą władzy, ewentualnie siłą zbrojną. Że ta powaga nie wystarczy zaraz w pierwszej chwili żywiołowego wybuchu i siła zbrojna jest niedołężna, to były rzeczy jawne w Galicji, o tem kierujące sfery w Wiedniu wiedzieć były powinny i wiedzieć mogły, gdyby, nie polegając wyłącznie na ustnych informacjach biurokratycznych, zechciały były wysłuchać głosów poważnego obywatelstwa z kraju. Historja jest bezwzględną w potępianiu mężów

stanu, którzy nie przywidywali czegoś, co zmysł polityczny bez daru proroczego przewidzieć jest w stanie. W tym wypadku nie chodziło nawet o przewidywanie rzeczy, możliwych wśród pewnych tylko komplikacji, lecz o trzeźwy pogląd na sytuację i ostrożne wzięcie pod rozwagę ewentualności, nietylko przewidzieć się dających, lecz wprost przewidywanych przez poważnych obywateli kraju.

Ks. Metternich był tak jednostronnym i za ślepionym w swoich poglądach i dążeniach, że nawet w chwili, gdy Galicja stała się już widownią najstraszniejszych nadużyć chłopskich, zamiast potężnym wpływem swoim pobudzić wszystkie czynniki do poskromienia anarchii, myślał więcej o jej wyzyskiwaniu dla swoich planów politycznych. Oddawna solą w oku była mu emigracja polska i włoska, poruszająca się swobodnie we Francji, więc teraz skwapliwie korzystał ze sposobności wymierzenia ciosu w tego wroga swojego. Naraz tedy już nie jakobinizm polski, lecz aspiracje narodowe występują na pierwszy plan, a emigracja polska, działająca w Paryżu pod osłoną prawa azylu, uchodzi za sprawczynię całego ruchu.

(C. d. n.)

Nowe zdrojowisko krajowe.

Znaną jest w całym świecie ze swych kopalni soli Wieliczka. Tłumy ludzi zjeżdżają rokrocznie z różnych stron świata do Wieliczki, by podziwiać te istne podziemne cuda natury, te wspaniałe imponujące ogromem sale kryształowe i labirynty krużganków. To też nic dziwnego że wrażenia wyniesione z tego podziemia Wieliczki, wyryją się na zawsze w pamięci zwiedzających. Jednak mało kto wie, że ta słynna Wieliczka oprócz wielkiego bogactwa soli, kryje w podziemiach swych niesłychanie silną solankę, jaką żadna inna miejscowość w Galicji ani zagranicą poszczycić się nie może.

Dowodem tego, rozbiór chemiczny surowicy wielickiej dokonany przez docenta uniwersytetu i chemika miejskiego Dr. Ignacego Lembergera.

Z tabelki porównawczej sporządzonej przez tegoż Dr. Lembergera, wykazuje się, że surowica Wielicka zawierająca na 1000 gramów 251·35 i 252·8037 części chlorku sodowego, a składników stałych 268·756 i 252·5790 tudzież mającą ciężar gatunkowy 1.2058, trzyma prym, przed wszystkiemi solankami krajowemi i zagranicznemi, zaczem idzie, że jako środek leczniczy odegrać powinien niesłychaną rolę.

Dziwić się należy, że mając w pobliżu Krakowa, tak bogatą solankę, ludzie jeżdżą do zdrojowisk solankowych zagranicznych w Bawarji i Salzburgu i t. d. i wydają tamże kolosalne sumy, zamiast zostawić ten pieniądz w kraju. Okoliczność ta tem więcej zasługuje na uwagę, że komentują to osoby, które dla przeprowadzenia kuracji solankowej wyjeżdżają za granicę.

Refleksja taka przychodzi im jednak za późno, bo w chwili kiedy znajdują się na obcym gruncie i objawia się w słowach „po cóż właściwie wyjeżdżamy za granicę skoro taką samą kurację, a nawet skuteczniejszą i tańszą mielibyśmy w Wieliczce, żeby tylko był tam zakład kąpielowy“.

Taki właśnie fakt jest dowodem, że w Wieliczce upragniony jest oddawna Zakład solankowy.



Górnik przy pracy w kopalni wielickiej.

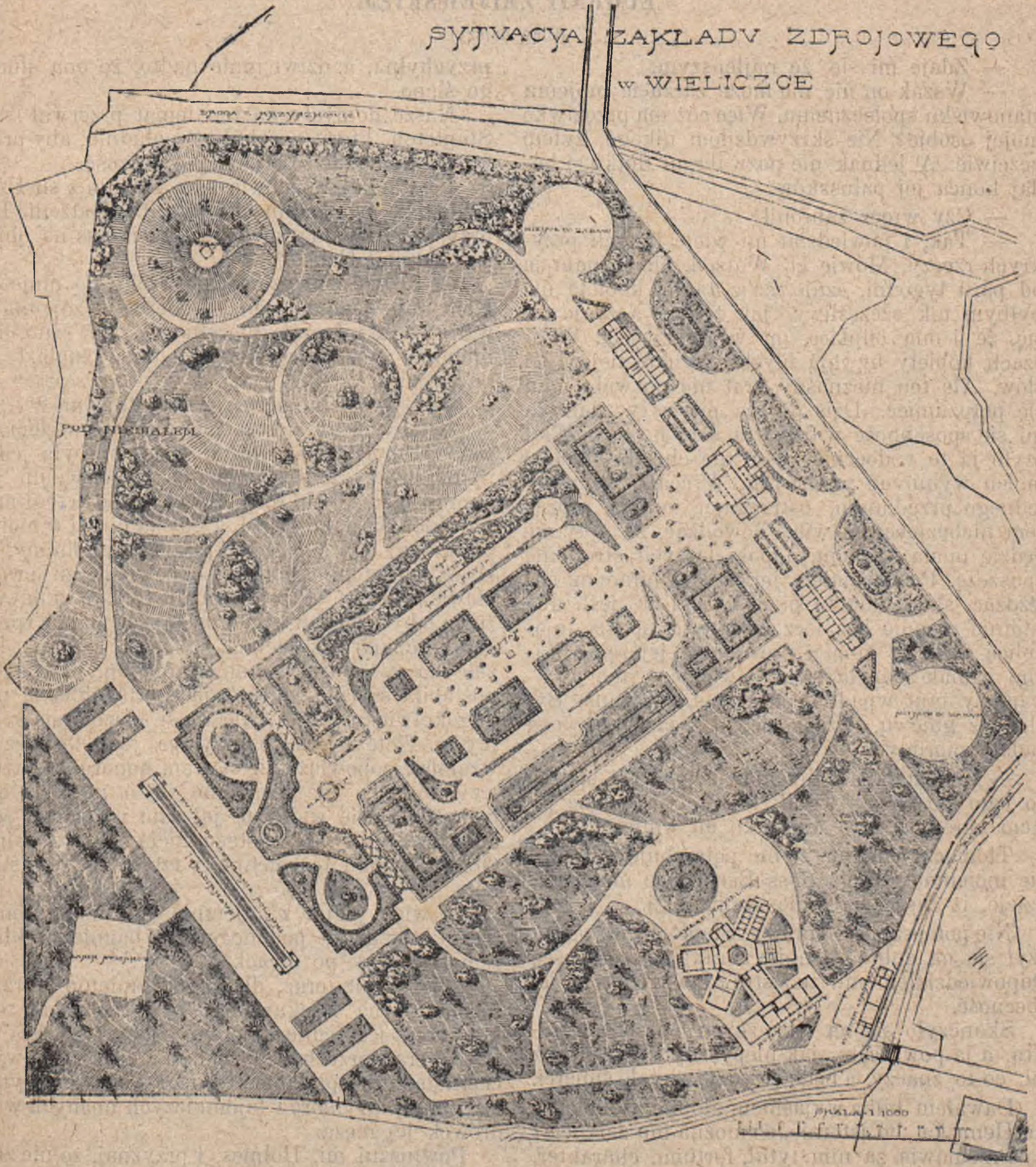
Okoliczność przytoczona, tudzież fakt, że solanka znajduje coraz szersze zastosowanie w lecznictwie a w szczególności w chorobach skrofulicznych, reumatycznych, skórnych, sercowych, kobiecych, pozapalnych i w rekonwalescencjach po operacjach chirurgicznych, i że kuracja solanką wielicką, polecona przez lekarzy miejscowych i krakowskich, w różnych cierpieniach wydaje nadspodziewane rezultaty, dała powód do rozlicznych konferencyj z lekarzami.

Na konferencje te zaproszono niektórych wybitnych lekarzy krakowskich a przedmiotem o-

brad była rzucona myśl budowy całorocznego zakładu solankowego w Wieliczce.

Po kilku posiedzeniach i po zbadaniu terenu Wieliczki i okolicy, orzekli wszyscy lekarze jednomyślnie, że Zakład solankowy we Wieliczce ma rację bytu i wspaniały horoskop przed sobą. Ta jednozgodnie powzięta zasada zachęciła liczne grono poważnych osób do zrealizowania powyższej myśli. To też wkrótce utworzył sie komitet, który przystąpił energicznie do dzieła. A mianowicie uzyskał koncesję na pobór solanki dla celów kąpielowych i przygotował plany projektowanego zakładu i kosztorys a nadto pomyślał o bardzo dobrej wodzie do picia, czego dowiodła analiza chemiczna i bakterjologiczna.

Wkrótce odbędzie się posiedzenie komitetu, na którem powzięta będzie decyzja w celu utworzenia Towarzystwa akcyjnego na budowę (wspomnianego) całorocznego zakładu kąpielowego solankowego, z którym będzie połączony zakład hydropatyczny, kąpiele borowinowe, elektryczne, kabiny pneumatyczne, masaże i wszelkie inne środki lecznicze.



CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Zdaje mi się, że najlepszym.

— Wszak on nic nie może zarzucić mojemu stanowisku społecznemu. Więc cóż ma przeciwko mojej osobie? Nie skrzywdziłem nikogo, żyłem uczciwie. A jednak nie pozwala mi dotknąć bodaj końca jej paluszków.

— Czy wręcz zabronił?

— Tak, i powiedział mi wiele innych przykrych rzeczy. Mówię ci, Watson, choć znam ją od paru tygodni, czuję, że z żadną kobietą nie byłbym tak szczęśliwy, jak z nią; a zdaje mi się, że i ona odpłaca mi wzajemnością. W oczach kobiety bywają błyski, wymowniejsze od słów. Ale ten nieznośny brat nie pozwala nam się porozumieć. Dziś po raz pierwszy zdarzyła mi się sposobność widzieć ją sam na sam. Cieszyło ją to widocznie, choć nie chciała słuchać moich wynurzeń miłosnych. Wracała wciąż do jednego przedmiotu, ostrzegając mnie o grożącem niebezpieczeństwie i dowodząc, że póty nie będzie miała spokoju, dopóki ja tych stron nie opuszczę. Powiedziałem jej, że nie pilno mi odjeżdżać, skoro ona tu przebywa, i że jeśli dba istotnie o moje bezpieczeństwo, to opuści tę okolicę wraz ze mną, i prosiłem o jej rękę. Zanim jednak zdążyła mi odpowiedzieć, ten jej utrapiony brat wpadł między nas, jak kula. Był blady z gniewu, trząsł się, a z jasnych oczu padały pioruny.

— Jak śmiałem przemawiać w ten sposób do jego siostry? — wołał. — Czy dlatego, że jestem baronetem, to wszystko mi wolno?...

Tłómaczyłem mu, że nie potrzebuję wstydzić się moich uczuć dla miss Beryl i że mam nadzieję, iż zaszczyci mnie swoją ręką.

Nie polepszyło to sprawy. Stapleton rozwścieczył się na dobre. I mnie zbrakło cierpliwości. Odpowiedziałem mu za ostro ze względu na jej obecność.

Skończyło się na tem, że on odszedł z siostrą, a ja powracam, jak niepyszny. Wytłómacz mi, co to znaczy, a będę ci wdzięczny do śmierci.

Dawałem kilka wyjaśnień, ale nie zadowoliły sir Henryka, bo istotnie, co można mu zarzucić? Przemawia za nim tytuł, fortuna, charakter, wiek i uroda. Jedyny zarzut, jaki możnaby mu czynić — to, że fatalizm ściga jego rodzinę. Ale Stapleton, jako człowiek uczony, nie powinienby przewiązywać wagi do przesądów.

To też nie pojmuję, dlaczego odrzuca jego zabiegi, nie pytając nawet, czy siostra jest mu przychylna, a dziwi mnie nadto, że ona słucha go ślepo.

Nasze domysły na ten temat przerwał sam Stapleton, który przybył po południu, aby przeprosić baroneta za swoją porywczość.

Po długiej rozmowie sam na sam z sir Henrykiem w jego gabinecie, wyszli pogodzeni. Dla przypieczętowania zgody, zaprosił nas na obiad do Merripit-House.

— Dziwny to człowiek — rzekł do mnie sir Henryk po jego odejściu. — Nie mogę zapomnieć wzroku, jakim mnie piorunował dziś rano, ale mimo to muszę przyznać, że teraz znalazł się przyzwoicie.

— Czy wytłumaczył swe postąpienie?

— Mówił, że siostra jest mu wszystkiem na świecie. Żyli zawsze razem, ona mu była jedynym towarzyszem. Sama myśl o utraceniu jej doprowadza go do rozpaczy. Nie spostrzegł mojej skłonności ku Beryl, a gdy ją ujrzał w moich objęciach, ogarnął go taki gniew samolubny, że stracił przytomność i nie odpowiada za swoje słowa i czyny. Przepraszał jednak i uznawał, że byłoby szaleństwem chcieć zatrzymać przy sobie kobietę tak piękną, jak jego siostra. Jeżeli ma go opuścić, to on, Stapleton, woli, żeby poślubiła sąsiada, mieszkającego tak blisko, niż kogokolwiek innego. Ale musi oswoić się z tą myślą. Gotów jest mi przyrzec jej rękę, jeżeli wzamian zobowiążę się słowem honoru, że przez trzy miesiące nie wspomnę jej o miłości, nie będę starał się widywać jej sam na sam i zadowolę się zwykłym stosunkiem towarzyskim. Obiecałem mu to solennie i rzeczy na tem stanęły.

A więc jedna z tajemnic już wyjaśniona. Uczuliśmy grunt pod nogami w bagnie, po którem błądzimy po omacku.

Wiemy już teraz, dlaczego Stapleton patrzał niechętnie na konkurenta siostry, chociaż ten konkurent jest jedną z pierwszych partyj w kraju.

A teraz przechodzę do innej nici, którą wyciągnąłem ze splątanego motka — do przyczyny łez pani Barrymore i tajemniczych nocnych wędrówek jej męża.

Powinszuj mi, Holmes, i przyznaj, że nie zawiodłem twego zaufania. Ta zagadka została wyjaśniona w jedną noc.

Napisałem: „w jedną noc“, właściwie jednak stało się to w ciągu dwóch nocy, albowiem pierwsze próby chybiły.

Siedziałem z sir Henrykiem w jego pokoju

do trzeciej z rana, ale nie doleciał nas żaden inny szmer, oprócz głosu zegaru. Wreszcie usnęliśmy obaj na krzesłach.

Niezrażeni tem, postanowiliśmy próbę ponowić. Następnej nocy zgasiliśmy lampę, i zapaliwszy papierosy, czekaliśmy, co będzie dalej.

Godziny wlokły się powoli. Wybiła pierwsza, druga, już nas sen morzył, gdy nagle obaj wyprostowaliśmy się na krzesłach. Doleciał nas odgłos kroków.

Zakradały się cichutko i wreszcie umilkły w oddali. Wtedy baronet drzwi otworzył i wyszliśmy na palcach.

Barrymore minął już galerję, korytarz był pogrążony w ciemnościach.

Doszliśmy na palcach do drugiego skrzydła w chwili, gdy kamerdyner wsuwał się do pokoju, na końcu korytarza. Zamknął drzwi za sobą. Podsunęliśmy się cichutko, stąpając ostrożnie, w obawie, aby nas nie zdradziło skrzypnięcie podłogi. Zajrzeliśmy przez dziurkę od klucza. Barrymore stał przy oknie ze świecą w ręku.

Nie ułożyliśmy planu kampanii, ale baronet uważa prostą drogę za najkrótszą i najwłaściwszą. Nie namyślając się, wszedł do pokoju. Barrymore odskoczył od okna.

— Co ty tu robisz? — zapytał go sir Henryk.

— Nic, proszę pana.

Był tak wystraszony, że świeca podskakiwała mu w ręku.

— Przyszedłem zobaczyć, czy okno zamknięte... Zamykam codzień wszystkie okna, żeby się złodziej nie zakradł.

— Tak, zwłaszcza tutaj, na... drugie piętro. Słuchaj, Barrymore, rzekł, postanowiliśmy obaj zmusić cię do powiedzenia prawdy. Im prędzej ją wyznasz, tem lepiej dla ciebie. Dość tych kłamstw. Gadaj? Coś tu robił?

Spojrzał na nas z rozpaczą, załamał ręce bezradnie.

— Nie robiłem nic złego — szepnął. — Trzymałem świecę w oknie.

— A dlaczego ją trzymałeś?

— Niech mnie pan o to nie pyta. Daję panu słowo honoru, że to cudza tajemnica. Nie mogę jej wyjawić. Gdyby chodziło tylko o mnie, wyznałbym panu całą prawdę.

Błysnęła mi nagła myśl. Wziąłem świecę, którą Barrymore postawił był na oknie.

— To zapewnie sygnał umówiony — rzekłem. — Zobaczmy, jaka będzie odpowiedź.

Podniosłem świecę w górę i trzymałem ją tak, jak on przed naszem wejściem. Pomimo ciemności, bo księżyc był zasłonięty chmurami, widać było drzewa, a dalej łąkę. W tem zobaczyłem blade światełko na bagnie.

— Jest sygnał! zawołałem.

— Nie, proszę pana, to nic nie znaczy — przerwał mi Barrymore. Upewniam pana, że to przypadkowe.

— Poruszaj świecą, Watson — zawołał baronet. — Widzisz? I tamto światło rusza się... Czy i teraz, łotrze, będziesz przeczył, że dawaliście sobie sygnały?... Chodźno tutaj. Mów, kto jest twoim wspólnikiem i jaki knujecie spisek?

Twarz kamerdynera pociemniała od tłumionego gniewu.

— Nie powiem! — oświadczył butnie. — To moja rzecz, nie pańska.

— W takim razie wynoś się zaraz z mego domu!

— Dobrze. Jeśli trzeba, to trudno.

— I żebyś mi się nie pokazywał na oczy! To wstyd, hańba!... Twoja rodzina służyła mojej przez kilka pokoleń, a ty knujesz przeciwko mnie spiski?...

— Nie, nie przeciw panu.

Słowa te były wypowiedziane głosem kobiecym. Na progu stała pani Barrymore, jeszcze bledsza od męża.

— Wynosimy się stąd, Elizo — oznajmił jej kamerdyner. — Pakuj nasze rzeczy.

— O, John! John! Ja cię zgubiłam!... To wszystko moja wina, sir Henryku, moja wyłącznie... On nie winien. Robił to dla mnie, bo go o to prosiłam.

— Mów pani, wytłómacz, co to znaczy? — zawołał sir Henryk.

— Mój nieszczęsny brat umiera z głodu, tam, na bagnie... Nie możemy go opuścić... To światło jest sygnałem, że przygotowaliśmy dla niego pożywienie... a tamto światełko wskazuje, gdzie mamy je przynieść...

— A więc brat pani jest...

— Zbiegłym więźniem... mordercą... Seldon.

— To prawda — przytwierdził Barrymore. — Mówiłem, że tajemnica nie moja i że nie mam prawa jej zdradzić. Ale teraz sir Henryk przekonał się, że to nie był spisek przeciw niemu...

Takie jest zatem wyjaśnienie nocnych wędrówek i światła w oknie.

Sir Henryk i ja patrzaliśmy na tę kobietę ze zdumieniem. Czyż podobna, aby osoba tak przyzwoita i poważna miała w swoich żyłach tę samą krew, co słynny zbrodniarz?...

— Tak, panie — mówiła jakby w odpowiedzi na nasze myśli. — Moje panieńskie nazwisko było Seldon, a to mój brat młodszy... Psuliśmy go za jego lat dziecinnych, wszystko mu było wolno, więc nabrał przekonania, że świat istnieje dla jego przyjemności... Gdy dorósł, wdał się w złe towarzystwo, zaczął hulać i jeszcze gorzej... Wpędził naszą biedną matkę do grobu, a nasze nazwisko błotem obryzgał. Upadał coraz niżej, wreszcie spełnił tę ostatnią zbrodnię... Ale dla mnie jest on zawsze małym chłopaczkiem z jasnymi kędziorami, którego niańczyłam, jako starsza siostra. Dlatego uciekł z więzienia. Wiedział, że ja tu jestem i że mu nie odmówię pomocy... Przywlókł się do nas, wycieńczony, zgłodniały, ścigany przez policję. Cóż miałam począć?... Wzięliśmy go, zamknęli na strychu, żywiliśmy go, przyodziali. Po powrocie

jaśnie pana, brat sądził, że będzie bezpieczniejszy na bagnie, i tam się ukrywa. Z dnia na dzień spodziewaliśmy się, że opuści te strony, lecz dopóki tu jest, my nie możemy go opuścić. Jeżeli kto zawinił, to ja, nie mój mąż; on go ukrywał i żywił, przez wzgląd na mnie...

W głosie jej była szczerość.

— Czy to prawda, Barrymore? — zapytał sir Henryk.

— Tak, panie, święta prawda.

— Ha! nie mogę mieć ci za złe, żeś uległ prośbom żony. Wracajcie oboje do waszego pokoju. Pomówimy o tem jutro.

Wyjrzeliśmy znowu przez okno. Sir Henryk otworzył je; chłodny wiatr smagnął nas po twarzach. Daleko na bagnie, płonęło blade światełko.

— Dziwna rzecz, że on nie boi się zdradzać swej obecności — rzekł baronet.

— Może tak światło umieścił, że widać je tylko z tego punktu.

— Jak ci się zdaje: czy to stąd daleko?

— Półtorej mili, dwie najwyżej. O ile mogę zmiarkować, jest to w pobliżu Cleft-Tor.

— Nie musi to być daleko, jeśli Barrymore codzień zanosi tam żywność. Słuchaj, Watson, schwytam tego łotra!

I mnie ta sama myśl przeszła przez głowę. Wszak Barrymore nie wyjawił nam tajemnicy dobrowolnie, lecz pod naciskiem; nie byliśmy więc zobowiązani do sekretu, a to tembardziej, że chodziło o łotra, wobec którego ustawały wszelkie względy współczucia. Obowiązkiem naszym było oddać go w ręce sprawiedliwości, uniemożliwić mu dalsze zbrodnie. Gdybyśmy go oszczędzili, mogliby to przypłacić życiem sąsiedzi, Stapletonowie naprzykład.

Niepokój o nich wpływał zapewne na to postanowienie sir Henryka.

— Pójdę z tobą — oświadczyłem.

— A zatem bierz rewolwer i wdziewaj buty — (byliśmy obaj boso, żeby ciszej stąpać). — Im wcześniej wyruszymy, tem lepiej. Łotr może lada chwila zgasić światło i nie odszukamy go po nocy.

W pięć minut byliśmy już gotowi i wyruszyliśmy na ową niebezpieczną ekspedycję.

Noc była pochmurna, wilgotna, od czasu do czasu księżyc wyłaniał się z po za chmur, a gdyśmy doszli do bagna, począł kropić drobny deszczyk.

Światło wciąż płonęło.

— Czy masz rewolwer? — spytałem.

— Mam nóż myśliwski, odparł sir Henryk.

— Musimy wpaść na niego znienacka, bo mówią, że silny, jak lew. Powalimy go, zanim zdoła stawić nam opór.

— Ciekaw jestem, coby też Holmes powiedział na naszą wyprawę — rzekł baronet. — To godzina duchów; grasują teraz po bagnie — dodał nawpół żartobliwie.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, po trzęsawisku rozległ się ów głos przeraźliwy, który już raz słyszałem w pobliżu Grimpen-Mire. Wiatr niósł go wśród nocnej ciszy; z początku było to ciche warczenie, niebawem przeszło w straszne wycie. Baronet zbladł i chwycił się mojego rękawa.

— Na miłość Boską, co to takiego, Watson? — spytał szeptem.

— Nie wiem. Podobno ten głos rozlega się często po bagnie — odparłem. — Już go raz słyszałem.

Zaległa znowu cisza, przerażająca, złowroga. Staliśmy, nasłuchując, ale żaden dźwięk nie wpadł nam w ucho.

— Watson — szepnął baronet — to było szczekanie psa'...

W jego głosie brzmiał strach tłumiony.

— Jakże okoliczni mieszkańcy tłómaczą sobie to przeraźliwe wycie? — zapytał.

— Ktoby tam uważał na to, co mówią ludzie prości.

— Powiedz mi jednak, co mówią?

Zawahałem się.

— Powiadają, że to szczekanie psa Baskervillów — odparłem.

Milczał długo.

— Tak, to był pies — rzekł wreszcie. — Szczekał bardzo daleko, w stronie Grimpen-Mire...

— Trudno określić, skąd głos dolatywał.

— Powiadam ci, że stamtąd, Watson. A ty jak sądzisz? Czy to było szczekanie?... Nie jestem dzieckiem. Możesz mi prawdę powiedzieć.

— Po raz pierwszy słyszałem ten głos, idąc ze Stapletonem. Tłómaczył mi, że to wabienie rzadkiego ptaka.

— Nie, nie, to był pies. Czyżby istotnie legenda została osnuta na faktach prawdziwych? Czyżby istotnie groziło mi niebezpieczeństwo?... Co o tem myślisz, Watson?

— Jestem pewien, że nie.

— Hm! Co innego było śmiać się z tych baśni w Londynie, a rzecz inna stać tutaj, wśród ciemności na bagnie i słyszeć ten głos przeraźliwy. Mój biedny stryj! Wszak widziano wyraźnie ślady łap wielkiego psa przy jego zwłokach... Wszystko to łączy się ze sobą. Nie jestem tchórzem, Watson, lecz to szczekanie ścięło mi krew w żyłach. Dotknij mojej ręki.

Była zimna, jak marmur.

— Jutro śmiać się będziesz z tej przygody — rzekłem, aby go uspokoić.

— Wątpię; ten głos pozostanie mi na zawsze w pamięci. Cóż mi radzisz zrobić?

Wracać do domu.

— Nie. Przyszliśmy tutaj, aby schwytać mordercę i nie cofniemy się w pół drogi. Chodźmy! Co ma być, niech się stanie.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku